

## Natalia

Poszczególne sytuacje w naszym życiu są jak paciorki, które nawlekane jeden po drugim tworzą sznur koralu zwany Autobiografią.

Moja autobiografia zaczęła się w dniu Bożego Narodzenia. Moi rodzice nawlekli pierwszy koralik – dali mi imię. I tak 55 lat temu urodziłam się ja, Natalia Mużanowska. Przyszłam na świat w mieście Akmoła, co w tłumaczeniu z języka kazachskiego oznacza „biała mogiła”. Kazachscy starszacy opowiadali, że kiedy Czyngis-chan prowadził swój zwycięski marsz w stronę Europy, to jego droga prowadziła także przez Akmołę, ale nie zatrzymał się tu na nocleg, bojąc się „białej śmierci” (tak Kazachowie nazywali złoza uranu).

I w ten „biały grób” na wieczne osiedlenie posłał Stalin wiele tysięcy polskich rodzin. Przesiedlając „wrogów narodu” na kazachskie stepy wiedział, że w takich warunkach mało kto może przeżyć bez dachu nad głową, pożywienia i zwierząt domowych. Latem upał sięgał 40 stopni, a burze piaskowe były częstym zjawiskiem. Zimą zaś panował 40 stopniowy mróz i śnieżyce. W domowym archiwum przechowywana jest kopia wezwania do przymusowego przesiedlenia do Kazachstanu moich bliskich. Widnieje w nim niewiarygodnie cyniczna fraza: „przejazd do miejsca przesiedlenia bezpłatny”.

Bóg stworzył człowieka bardzo silnym, dlatego moi rodzice przeżyli, nie miałam tylko okazji poznać mojego dziadka. Umarł na krótko przed moimi narodzinami. Rodzice mojego ojca urodzili i wychowali czworo dzieci. Najstarszego, pełnoletniego już Adama, wysłano do osady w Karagandzie, a mojego małoletniego ojca wraz z siostrą wyprawiono razem z rodzicami 36 km od Akmoły, do miejsca nazywanego właśnie „36 punkt”.

W Karagandzie wujek Adam zachorował na raka mózgu. Żeby zobaczyć się z synem mój dziadek na pieszo w lutowe mrozy doszedł do Akmoły i zwrócił się do naczelnika KGB z prośbą o pozwolenie na wyjazd do chorego syna. Na jego oświadczeniu widnieje tylko jeden zapis: „Odmowa”.

Dowiedziawszy się o odmowie, babcia Józefa powzięła bardzo niebezpieczną decyzję – pojechała do Karagandy bez żadnego pozwolenia, chociaż rozumiała, że jeśli ktoś się o tym dowie, to będą ją sądzić, a wyroki za tego typu przestępstwo były nie mniejsze niż 10 lat łagru. Ale przez spotkanie z synem straciła męża. Mojemu dziadkowi Mikołajowi Mużanowskiemu pękło serce, co spowodowało jego natychmiastową śmierć. Wkrótce w Karagandzie zmarł także mój wujek.

Pierwszy raz „kwestia polska” dotknęła mnie bezpośrednio po moich narodzinach. Mój ojciec powinien był zgłaszać się na milicję każdego miesiąca by zameldować, że ani on, ani jego dzieci nie opuszczali granic naszej osady. Nie pamiętam tego, miałam wtedy zaledwie 1,5 roku. Dopiero co wchodziłam w życie. Śmierć Stalina bardzo zmieniła

położenie represjonowanych. Mogli oni teraz uczyć się na uniwersytetach, opuszczać osady i odwiedzać różne miasta na terenie całego Związku Radzieckiego. „Dzięki” stalinowskim represjom w Kazachstanie żyło ponad 140 narodowości, wszystkie ze swoją przeszłością, odrębną kulturą, własnym językiem i nikt nie zwracał uwagi na ludzi mówiących z akcentem, ponieważ wszyscy mówili w ten sposób.

Jeśli by rozdzielić moją Autobiografię na fragmenty czasowe, to pierwsza część życia minęła mi w nieistniejącym już kraju – ZSRR, w którym szczęśliwie ukończyłam szkołę średnią, uniwersytet, wyszłam za mąż i urodziłam dzieci.

Chwilę zatrzymam się na swoim dzieciństwie i młodości. Zawsze byłam bardzo, ale to bardzo samodzielnym dzieckiem i dlatego moi rodzice mieli to „szczęście” od czasu do czasu nieoczekiwanie dowiadywać się, że ich dziecko podjęło i urzeczywistniło kolejną „fatalną decyzję”. Nie było ich aż tak wiele, ale wszystkie kardynalnie zmieniały moje życie. Pierwsza samodzielna decyzja została powzięta w kwestii mojego zdrowia. Rosłam jako słabowite, chorowite dziecko i w wieku lat 11 zrozumiałam, że starania moich rodziców, żeby odizolować mnie od sportu, jeżdżenia na rowerze, biegania po podwórku z innymi dziećmi, doprowadzą tylko do mojego upadku. Przemyślałam wszystko i zapisałam się do sekcji sportowej na kajakarstwo. Co prawda nie umiałam pływać i mój przyszły trener zapisał mnie pod warunkiem, że w ciągu miesiąca nauczę się pływać.

Pływać nauczyłam się dzięki tacie Rafałowi Mużanowskiemu, który całe swoje życie poświęcił rodzinie. Od kiedy z siostrą skończyłyśmy 7 lat, nasz tato pracował w obozie pionierskim 3 miesiące w roku i tak przez 10 lat. Robił to, żebyśmy mogły latem odpoczywać za miastem, w lesie i wzmacniać swoje zdrowie. Obóz był położony nad brzegiem jeziora i w czasie leżakowania wymykałam się ukradkiem nad wodę i uczyłam się pływać. Wyglądało to tak – nabierałam w płuca dużo powietrza, nurkowałam pod wodę i starałam się płynąć. Na szczęście nie utopiłam się, ale nauczyłam się pływać i przyjęto mnie do drużyny. Kiedy przyjechałam do domu, powiadomiłam rodziców o swojej pierwszej samodzielnej decyzji. Przekonywali mnie, że mam za słabe zdrowie do uprawiania tak poważnego sportu, ale nie uznałam ich racji. Podjęli więc ostatnią próbę i powiedzieli: „Natalio, jak ty chcesz zajmować się wodnym sportem, skoro nawet pływać nie umiesz?”. Na to ja dumnie odpowiedziałam im, że już umiem i szczerze przyznałam, jak i gdzie się nauczyłam. Nie mieli ze mną lekko. Zrozumiałam to dopiero wtedy, kiedy dorosłam i sama miałam już dzieci. Teraz wiem, jak mogli się czuć, kiedy dowiedzieli się o mojej „własnej metodzie nauki pływania”.

Sporty wodne oczarowały mnie na 10 lat. Zapewne właśnie dzięki nim nauczyłam się stawiać sobie cele i realizować je. Byłam najśłabsza w drużynie, wielu podśmiewało się ze mnie, że tracę czas, bo i tak nie wygram zawodów. Nie zwracałam uwagi na ich kpiny, trenowałam dwa razy dziennie i w ciągu dwóch lat zdobyłam mistrzostwo miasta, a potem kraju.

W tym czasie pojawiła się u mnie jeszcze jedna pasja – medycyna. Mając 15 lat

zapisalam się do kółka medycznego, które było zorganizowane przy Instytucie Medycznym. Co prawda i tam postawili mi pewne warunki – powinnam uczyć się w klasie o profilu chemicznym. Musiałam zmienić szkołę. Nowa była dość daleko od domu. Moją drugą decyzję rodzice przyjęli już ze spokojem.

Dziwny to był czas, czas mojego dzieciństwa i „rozwinętego socjalizmu”. Nam, piętnastoletnim dzieciom, pozwalano uczestniczyć w zajęciach ze studentami, uczono jak trzymać skalpel i asystować przy operacjach, określać grupę krwi. Kiedy miałam niespełna 18 lat asystowałam przy porodzie i nigdy nie zapomnę tego niesamowitego wydarzenia. Doświadczyłam wtedy wielu skrajnych emocji – przerażenie, kiedy widziałam powiększające się rozwarcie, strach o nienarodzone jeszcze dziecko, chęć pomocy rodzącej. I tak mnie to zafascynowało, że na ziemię sprowadził mnie dopiero śmiech akuszerki. Tak chciałam w czymkolwiek pomóc przyszłej mamie, że sama, nie zauważywszy tego, zaczęłam przeć razem z nią. I doznałam uczucia wielkiej radości spowodowanej pierwszym krzykiem dziecka, przecięciem pępowiny i widokiem szczęśliwej twarzy matki! Zapewne właśnie wtedy zrozumiałam jak kruche i dziwne jest ludzkie Życie i jakie to szczęście przyjść na świat.

Wraz z ukończeniem szkoły średniej zakończyło się moje wspaniałe, niepowtarzalne Dzieciństwo, na poważnie zastanowiłam się, kim chcę być i gdzie się uczyć. Wybrałam wydział prawa na uniwersytecie w Alma Acie.

Na ostatnim roku studiów dogadałam się z mamą, żeby wykupili mi wycieczkę do Polski. Zawsze chciałam tam pojechać i właśnie teraz udało się zebrać wszystkie niezbędne dokumenty. Pochwaliłam się tacie, że prawdopodobnie pojedę do Polski!!! I wtedy między moimi rodzicami odbyła się bardzo poważna rozmowa. Poprosili mnie, bym wyszła z pokoju i tato zaczął objaśniać mamie, że ten wyjazd może mieć wpływ na moją dalszą naukę i karierę, że KGB do tej pory śledzi życie byłych, ale jednak wciąż „wrogów narodu”. Nie wiem, co przekonało ojca, jednak pozwolił mi odwiedzić swoją historyczną Ojczyznę. Ta podróż bardzo mnie zmieniła, zobaczyłam, że istnieje zupełnie inna kultura, inne stosunki między ludźmi, inne życie. Ale wtedy nie mogłam nawet marzyć o powrocie do Polski.

W 1991 roku rozpadł się Związek Radziecki i Kazachstan został samodzielnym państwem. Zapewne dlatego, że w Kazachstanie mieszkała największa liczba Polaków, to właśnie u nas zaczęto tworzyć polskie stowarzyszenia, z Polski zaczęli przyjeżdżać nauczyciele języka polskiego. Moje dzieci zaczęły jeździć na wakacje do Polski, pokochali jej obyczaje i kulturę. Mój młodszy syn dosłownie „zachorował” na Polskę i kiedy powiedziałam mu, że w Warszawie zdecydowano o tym, że każdego roku mogą przyjmować do dziesięciu rodzin repatriantów z Kazachstanu, wtedy mój syn namówił mnie do zebrania dokumentów niezbędnych do wyjazdu do Polski. I tak oto po czterech latach w 2001 roku spełniło się oczekiwanie syna i rodziców. Moja rodzina 20 sierpnia 2001 roku, jako rodzina repatriantów, pojechała do Warszawy.

Ulokowano nas w trzypokojowym mieszkaniu, praktycznie niczym nie różniącym się od naszego kazachskiego. Ale euforia spowodowana wyjazdem nie trwała długo. Już na drugi dzień zrozumiałam, w jak trudnej sytuacji znalazła się moja rodzina. Nie znałam w Warszawie nikogo, a urzędnik, który zajmował się repatriantami z Kazachstanu surowo, acz zapewne sprawiedliwie, powiedział, że wszystko powinniśmy załatwiać sami – zapisać dzieci do szkoły, na uniwersytet, znaleźć pracę, podpisać umowę na wynajem mieszkania, uregulować opłaty komunalne i samodzielnie nauczyć się języka. Czyli powinniśmy żyć tak, jak wszyscy polscy obywatele.

W te bardzo trudne dla mojej rodziny dni zrozumiałam, jak łatwo można znaleźć się na skraju przepaści. Całe moje poprzednie życie układało się nieźle, zawsze udawało mi się osiągnąć wyznaczony cel, moja kariera rozwijała się, przed wyjazdem do Polski zajmowałam stanowisko naczelnika oddziału prawnego w merostwie stolicy i byłam członkiem Rady Miejskiej. Moje dzieci uczęszczały do prestiżowych szkół. Być może dlatego przez głowę nie przeszła mi nawet myśl o tym, czy w Polsce również dam radę zająć taką pozycję społeczną jak w Kazachstanie. Ale wróć do początków naszego życia w Warszawie.

Tak oto pozostało nam 7 dni, aby zapisać syna do szkoły. Obeszliśmy wszystkie szkoły w naszej okolicy, ale nie udało się nic znaleźć. Nigdzie nie chcieli zapisać Wadima, powołując się na słabą znajomość języka polskiego. Na szczęście sąsiadka z naszego domu, dowiedziawszy się, że przyjechaliliśmy z Kazachstanu, przysłała zapytać, czy nie potrzebujemy pomocy. Kiedy dowiedziała się o trudnościach ze szkołą poradziła, żebyśmy pojechali 50 km od Warszawy do Niepokalanowa i porozmawiali z dyrektorem niższego seminarium duchownego. I tak oto we trójkę – syn, córka i ja pojechaliśmy do Niepokalanowa. Jako że nie znałam ani jednego polskiego słowa, to całą rozmowę z dyrektorem seminarium przeprowadziła moja 18 letnia córka. Opowiedziała, kim jesteśmy i jakie mamy problemy. Dyrektor spokojnie wysłuchał i poprosił, żebyśmy zadzwonili za trzy dni. Czekaliśmy na ten telefon w niepokoju. Ale wydarzył się cud, przyjęto Wadima do drugiej klasy liceum!!! Był to pierwszy i w tej chwili najważniejszy krok w nowym kraju!

Zaraz po pierwszym problemie pojawił się następny. Córka miała zdawać egzaminy na uczelnię, ale na tle nerwowym nasiliła się u niej alergia. Lekarz powiedział, że w swej praktyce nie spotkał się jeszcze z taką reakcją alergiczną. Cały tydzień leczyliśmy się i przygotowywaliśmy do egzaminu. Po tygodniu córka zdała egzamin i została wpisana na listę studentów. To było nasze drugie zwycięstwo. I wydawało mi się, że teraz życie spojrzy na nas łaskawszym okiem. Dzieci mają szkoły, teraz pozostało tylko uporać się z pracą.

Poszukiwania pracy trwały dwa lata!!! Z rozpaczki praktycznie przestałam mówić. Aż pewnego razu mój 13-letni syn przyjechał na wolne dni do domu i zobaczywszy mój fatalny stan zapytał mnie: „Mamo! Co z Tobą? Dlaczego załamanaś ręce? Nam też jest bardzo ciężko. Byliśmy z Ciebie tacy dumni w Kazachstanie i jeśli nie Ty, to kto ma być

naszym wzorem do naśladowania?”. Wtedy wyjaśniłam mu, że przyjazd do Polski był poważnym błędem, że przeliczyłam się ze swoimi możliwościami, że nie mogę im teraz pomóc i sami powinni teraz budować swoje życie. Ale jego pytanie jak drzazga wbiło się w moje serce i ciągle sprawiało ból.

Wszystko zmieniło się w ciągu jednego dnia. Pewnego razu przechodziłam obok klasztoru i zaczepiła mnie starsza kobieta. Popatrzyła na mnie i zapytała: „A Ty co? Też jesteś bezdomna?”. To było właśnie pytanie za 100 punktów!!! Jeszcze nigdy w życiu nikt nie zadał mi takiego pytania. Pamiętam, że się zezłościłam i odpowiedziałam jej, że nie jestem bezdomna i mam gdzie mieszkać. Wtedy ona popatrzyła na mnie i powiedziała: „Ja nie mówię o mieszkaniu, a o tym, że jesteś bardzo zagubiona...”

Myślę, że człowiek powinien znaleźć się w tragicznej sytuacji, bo dopiero wtedy zaczyna myśleć, szukać wyjścia, a nie użala się nad sobą. To była najdłuższa i najbardziej niespokojna bezsenna noc w moim życiu. I nad samym ranem przypomniało mi się, że przed moim wyjazdem do Polski zadzwoniła do mnie mało znana mi kobieta i powiedziała, że jeśli będzie mi trudno w Warszawie, to mogę zwrócić się o pomoc do Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w stolicy. Następnego dnia poszłam tam i od razu mi się poszczęściło – zwróciłam się do przechodzącej obok pracownicy tego stowarzyszenia, która akurat zajmowała się kwestią Polaków represjonowanych w Kazachstanie. Myślę, że moja historia bardzo ją poruszyła, dlatego pomogła mi spotkać się z Prezesem Stowarzyszenia prof. Andrzejem Stelmachowskim. Pan Prezes bardzo uważnie mnie wysłuchał i zapytał, czy dałabym radę poświadczyć tu swój dyplom prawnika. Odpowiedziałam, że tak, a on stwierdził, że postara mi się pomóc, ale żebym na zbyt wiele nie liczyła. W ciągu 6 miesięcy Stowarzyszenie pomagało mi szukać pracy.

I wtedy coś drgnęło! Zostałam zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną przez Dyrektora Biblioteki Narodowej!!! To był maj 2003 roku. 15 września zadzwonili do mnie i powiedzieli, że przyjmują mnie do pracy. Z podniecenia nawet nie zapytałam pracownika kadr na jakie stanowisko. Kiedy następnego dnia przyszłam do działu kadr, to okazało się, że zatrudnili mnie w dziale administracyjnym na stanowisku specjalisty. Zapoznałam się z zakresem obowiązków i przedstawiono mnie przyszłemu kierownikowi. Był to starszy mężczyzna, mówiący trochę po rosyjsku. Po rozmowie ze mną popatrzył, pomyślał i powiedział: „Proszę, żeby się Pani niczym nie denerwowała, ja sam napiszę dla Pani dobry słownik polsko-rosyjski, a póki co proszę wziąć ustawę „Prawo zamówień publicznych” do domu i czytać ją głośno”. O ironio, pierwszy artykuł, na który natrafiłam był poświęcony „klęskom żywiołowym”!!!

Było mi bardzo trudno, ale dzięki pomocy kolegów z pracy i mojej wytrwałości już w ciągu roku ukończyłam studia podyplomowe na kierunku Zamówienia publiczne i wypełniałam wszystkie obowiązki związane z moim stanowiskiem.

Nie minęło tak wiele czasu, ale mi wydaje się, że minął wiek. Moja córka skończyła studia, a syn studiuje na uniwersytecie i także chce zostać prawnikiem. Polubiłam swoją

pracę, być może ona mnie też. Nie mogę powiedzieć, że mówię po polsku tak, jak po rosyjsku, ale czasem łapię się na tym, że nie zwracam uwagi w jakim języku z kimś rozmawiam. Trudno jest nauczyć się mówić, ale jeszcze trudniej jest myśleć po polsku. Kiedy wychodziłam rano z domu wybierałam sobie jakąś rosyjską piosenkę i próbowałam śpiewać ją w myśli po polsku, a potem analizowałam jej tekst. W głowie wszystko brzmiało niezłe, ale pojawiał się problem, kiedy miałam to powiedzieć. Wstydziłam się mówić z powodu swojego akcentu. Ale pewnego razu zrozumiałam, że wszystko powinno przyjść naturalnie, stopniowo, bez zmuszania się. I jak tylko to pojęłam, to uspokoiłam się, odszedł strach i ludzie zaczęli mnie rozumieć. Najważniejsze jest to, że podchodziłam z humorem do swoich problemów, bo w życiu nie ma takiej sytuacji, której człowiek by nie podołał.

Tutaj w Polsce poznałam fantastycznych ludzi i kiedy w 2009 roku zmarł profesor Andrzej Stelmachowski czułam, że odszedł ktoś bardzo mi bliski.

W wielkim skrócie opowiedziałam, co działo się ze mną w drugiej części mojego życia. Czy żałuję? Powiem tak – jeśli bym wiedziała, co mnie tu czeka, to nigdy bym tu nie przyjechała. Ale teraz już nie chciałabym wracać. Pokochałam Warszawę z jej letnimi koncertami jazzowymi na Starym Mieście i festiwalami muzyki organowej, świętowaniem z całą rodziną Bożego Narodzenia. Pokochałam warszawiaków i rytm tego miasta, moje dzieci są szczęśliwe w tym kraju i to sprawia, że i ja jestem szczęśliwa. Jeśli ktoś zadał by mi pytanie, co zmieniło się w moim życiu po przyjeździe do Polski, odpowiedziałabym: „zmienił się stosunek do samej siebie, do swego życia. Zrozumiałam jak ważne jest dla mnie i moich dzieci to, że jesteśmy razem i mamy możliwość zdobywania nowych szczytów”. Życie płynie, a to znaczy, że moja autobiografia będzie się ciągle zmieniać.